

Joanna Jodełka

# GRZECHOTKA





**Joanna Jodełka** (ur. 1973) – zanim nieoczekiwanie dla samej siebie zaczęła pisać, zakochała się w Poznaniu. Tu skończyła historię sztuki na Uniwersytecie Adama Mickiewicza, prowadziła restaurację oraz własny sklep z miłosnymi kosmetykami. Była też twarzą kampanii reklamowej jednego z poznańskich domów towarowych.

Jako pisarka zadebiutowała w 2009 roku kryminałem *Polichromia\* Zbrodnia o wielu barwach*, za który otrzymała Nagrodę Wielkiego Kalibru. Jest stypendystką Państwowego Instytutu Sztuki Filmowej i pisze scenariusz filmu o Józefie Piłsudskim. Prowadzi blog, na którym umieszcza teksty swoich piosenek.

Joanna Jodełka

# GRZECHOTKA

---

Joanna Jodełka

# GRZECHOTKA

---

Copyright © by Wydawnictwo W.A.B., 2011  
Wydanie I  
Warszawa 2011

Budziła się powoli, bardzo powoli, ciężko. Powieki mru-  
gały, jakby nie chciały się ze sobą rozstać – od siebie  
do siebie. W końcu dały oczom popatrzeć – na odrapa-  
ne okiennice, na odklejającą się tapetę, na grzyb, który  
ją odklejał i wlaził na sufit już bez przeszkód.

Była u siebie.

Odetchnęła spokojniej i palcami zaczęła ścierać sen  
z oczu. Jakiś koszmarny sen, że ucieka jak zwierzę, że  
wyje jak zwierzę, że łka jak człowiek.

Taki sen, przy którym nawet ten grzyb, który jeszcze  
wczoraj był obrzydliwym pajakiem krzyżakiem, rozwi-  
jającym swą obrzydliwą, większą i coraz większą paję-  
czynę, teraz zdawał się egzotycznym kwiatem.

Dlaczego tak się jej wydawało? Pytała, bo była u sie-  
bie? Bo już dobrze? To dlaczego drży na samą myśl,  
której nie może sobie przypomnieć?

Odpowiedzi nie przychodziły, więc zaczęła wstawać.  
Powoli, bardzo powoli. Ociężała. Ostatnio puchły jej  
stopy, czuła się źle, pomyślała, że może tak powinno  
być.

Usiadła na łóżku, okrywając się kocem trzymanym  
w obu rękach, wysoko, pod szyją. Podkuliła nogi. Coś

jej nie pasowało. Miała mały brzuch. Niewiele przytyła, prawie nic.

Niewiele osób w ogóle go zauważyło.

Skupiła się na dźwiganiu głowy, uparcie kiwającej się na boki. Chwyciła twarz w ręce, zamknęła oczy, trochę pomogło. Głowa powoli przestawała ciążyć, puściła ją. Koc zsunął się wcześniej.

I wtedy zobaczyła. Najpierw mankiety białej bluzki, przesyte czarną nitką, w zygzakowaty wzorek.

Dlaczego w niej spała?! Dlaczego były ubłocone, te mankiety?!

Myśli zaczęły krzyczeć, a potem się wydzierać.

Powieki schowały się ze strachu. Zostały wielkie, przeżone oczy, otwarte na oścież, nie miały gdzie uciec. Ciało samo zaczęło się cofać, pod ścianę, w kąt. Przed czymś, czego nie było, przed kimś, kogo nie było.

Przed snem, który myślała, że już się wyśnił.

Skuliła się, objęła rękami brzuch, chroniąc go delikatnie, z czułością, którą niedawno odnalazła.

Potem palce zaczęły błędzić. Najpierw powoli. Potem szybciej! Nerwowo! Szukając twardej, ruchomej gładzonej i wygładzanej powierzchni. Nie mogły jej znaleźć.

Zaczęły się zatapiać.

Zatapiać w galaretowatej, przelewającej się pustką masie.

Bez oporu!

W nic!

Głębiej i głębiej!

Usta otworzyły się, nie wypuszczając z siebie żadnego dźwięku.

Oczy i ręce dalej szukały i dalej nie znajdowały.

Zerwała się. Zaczęła się kręcić, odganiać, osłaniać jak kłosa przez niewidzialną watahę dzikich zwierząt. Wbijać pięści w pusty brzuch. Wariować.

Ktoś zabrał jej dziecko!

Ze środka!

Bo tam go nie było.

Za duże spodnie opadły do kolan.

Ubłocone, ukrwawione.

I rozległ się krzyk, który otworzył drzwi do przerażenia i do lęku. I zostawił je uchylone.

Weronika Król wstała z łóżka. Nawet nie pamiętała momentu, w którym się obudziła. Wstała, i już. Więcej, była pewna, że prawą nogą, bo jakoś tak lekko i z życiem. I to wystarczyłoby, żeby wprawić ją w dobry humor, który miewała równie często jak zły, bez wyraźnej przyczyny. Na przemian, mniej lub bardziej regularnie. I wiązało się to z porą roku za oknem czy w kalendarzu, cyklem księżyca lub jej prywatnym, krwawiącym sercem czy czymkolwiek innym. Była dobra melodia na życie bądź nie. Tego dnia była i zapowiadał się dobry dzień.

Podniosła żaluzje w oknie. Za oknem czekał czarny kot i padał szary deszcz.

– Idealnie. – Uśmiechnęła się do siebie i popatrzyła na niebo.

Nie musiała też zadzierać głowy zbyt wysoko, niebo właściwie zaczynało się na wysokości jej oczu. Otworzyła drzwi i poczuła zimny wiatr. Z wewnętrznej perspektywy absolutnie jej nie przeszkadzał. Mógł sobie mieszać tę moką szarość i kręcić swoim rzadkim deszczem i gęstą mgłą we wszystkich kierunkach – do woli.

– Idealnie – jeszcze raz powiedziała do siebie.

Wpuściła Pomyłkę i szybko zamknęła drzwi, bo nieproszony chłód już zaczął wpychać się do środka. Spojrzała na kotkę. Ta na nią nie patrzyła, tylko zaczęła się łąsić w znajomy sposób.

– No i nie zdążyłam jej wysterylizować. Będą małe. Trudno – dodała i poszła w kierunku lodówki.

Po drodze kotka zdążyła zakręcić dwie ósemki między jej nogami.

– Odpodobał ci się ten paskud z sąsiedztwa? – pytała już jedzącą i niezważającą na nic Pomyłkę. – Teraz, po fakcie? Jesz za dwóch, za trzech czy czterech. Do mnie wróciłaś czy do tej miski?

Kotka spojrzała na krótką chwilę.

– Masz rację. – Weronikę rozbawiło to spojrzenie. – Lepiej nie zadawać takich pytań. A ty mi zresztą pasujesz do dnia.

Plan był jasny: książka, koc, herbata, ptasie mleczko. To wszystko w różnych, nie do końca jeszcze ustalonych proporcjach. Deszcz za oknem dla dekoracji i akompaniamentu. Tak od rana do wieczora. Rozmyślanie o tym sprawiało, że poczuła się tak, jakby sama siebie posłodziła. Idealnie. Może tylko wyłączyć telefon?

Nie zdążyła.

Zadzwoił.

Z samego rana. W niedzielę.

Nie wyłączyła go i patrzyła, jak dzwoni i drży na stole, jakby tańczył taniec św. Wita. Zastanawiała się, czy nie pozwolić mu spaść, żeby już się tak nie męczył.

Piła wodę, bo chciało jej się pić, i dalej patrzyła. Dzwonił natrętnie. Nie mogła zobaczyć na wyświetlaczu, kto dzwoni, po tym, jak telefon wpadł do dzbanka z wodą, ale te drgania jakoś kojarzyły się jej z byłym mężem. Nie zamierzała zepsuć sobie dnia.

Na pewno dzwoni, żeby poużalać się nad sobą, po kolejnej sobocie z jakąś panną. Jak odbiorę, to pieterko ptasiego mleczka nie starczy na odżałowanie tego, że odebrałam.

– Oj! Nie zdążyłam, jaka szkoda – powiedziała do kota i podeszła do czajnika. Wylała wczorajszą wodę.

Telefon zadzwonił ponownie.

Tym razem nie potańczył sobie. Spadł z hukiem na podłogę, centymetr od kotki, która odskoczyła na metr, preżąc się do walki z intruzem.

– Nie denerwuj się, kociętom szkodzi. Już odbieram.

– Słucham. – To „słucham” było nadęte, zniecierpliwione i niemile. I takie miało być.

– Pani Weronika Król?

– Tak? – Nie wiedziała dlaczego, ale słuchając tego głosu, wiedziała, że spłynął lukier z jej dnia.

– Musi nam pani pomóc...

– Nie. Nie muszę – odparła zadowolona z własnej odpowiedzi. – Z kim rozmawiam, to przede wszystkim? – zapytała już poniesionym głosem.

– Z policją. Sprawa jest bardzo pilna, liczy się każda minuta.

– To niech pan dzwoni do straży pożarnej, a nie do psychologa. Negocjatorem też nie jestem! I już mnie nie ma w waszej książce adresowej. Ewentualnie w Poznaniu jest jeszcze pięciuset innych Królów, niech pan szuka dalej – dodała rzeczowo i uśmiechnęła się sama do zdobytej ostatnio informacji o ponadpięćdziesięciotysięcznej populacji Królów w Polsce.

– Nie ma również pani koleżanek, jedna jest na szkoleniu, druga nieprzytomna. Takie bezkrólewie, a my mamy potencjalną dzieciobójczynię bez dziecka, i tego dziecka szukamy! Mam dzwonić po straż pożarną? To nie kot!

– Gdzie mam być? – odpowiedziała, zastanawiając się, czy się myć, czy nie myć.

– W remizie! Na policji oczywiście! Wie pani przecież, skąd dzwonię! – głos zakrzyczał, tak przynajmniej się jej zdawało.

- Tak... wiem... nie wiem... a nie, już wiem, dwadzieścia minut.

Wiedziała, że umyć to się nie zdąży.

- Czekam. - Trzask odkładanej słuchawki.

- Pomyłka, spadaj... - powiedziała do kotki, która też coś od niej chciała.

Sprzedawczyni z cukierni czyściła szybę półki, w środku kręciły się serniki z galaretką lub wiśniami, foremki z ciastek wypełnione orzechami lub migdałami i mleczne napoje, fioletowe od jagód, a różowe od truskawek. Czyściła tę szybę uparcie, ale nawet na nią nie patrzyła. Znowu jej wzrok przylepił się do ojca dzieciom, który właśnie wszedł. Patrzyła, jak na idealny, kolorowy obrazek. Patrzyła, jak dwóm dziewczynkom odwija takie same szaliczki, jak rozpina im identyczne kurteczki. Zdejmuje żonie płaszcz. Jak ściąga czapkę z głowy, której nawet nie przeszkadzała plackowata łysina. Jak zamawia i pamięta zamówienie: dwie porcje lodów malinowych, jedno z polewą czekoladową, drugie bez polewy, dwie kawy, jedna czarna, druga z podwójną porcją mleka.

- Sernik wiedeński? Tak, kochanie? - pyta, odwracając się do żony.

Kochanie, nie wiedząc, jakie ma szczęście, przytakuje z obojętną miną.

Sprzedawczyni patrzyła tak i wyła w środku.

Ją opuścił mąż, jej matkę jej ojciec, dziadek babkę, a pradziadek poszedł do partyzantów i też nie wrócił.

Patrzyła na kobietę i jej zazdrościła. Patrzyła na dzieci i im też zazdrościła. Patrzyła na mężczyznę i zobaczyła, jak ten odbiera telefon, jak wycofuje się gdzieś w kąt, jak słucha i zamiera w tym słuchaniu... i jak blednie.

I jak kręci się wokół siebie, jak kręci, tłumacząc coś żonie.

Jak wychodzi.

Zastanawiała się, czy wróci, widząc, jak nerwowo zakłada płaszcz, przerzuca przez ramię szalik, wraca się po zapomnianą czapkę.

Zastanawiała się też, czy żona zdaje sobie sprawę, co się dzieje, czy dostrzegła, tak jak ona, całą pokrętność dziejącej się wokół niej sytuacji.

Tego nie była pewna, patrząc na kobietę, która wolniutko mieszała mleczną pianę w wysokiej szklance. Przyglądała się jej i dziewczynkom jeszcze przez chwilę. Mocny nawiew, przy którym siedziały, przewracał jasne, krótkie grzywki z lewa na prawo, ale nie poruszył ciemnymi, prosto opadającymi na ramiona włosami kobiety.

On też nie ma prawa od niej odejść, pomyślała sprzedawczyni, myśląc o tym, co nadawało takiego charakteru owej drobnej kobiecie. Przyglądała się, ale nie potrafiła tego dojrzeć.

Chuchnęła jeszcze raz ułożonymi w lejek mięsistymi ustami na szybę i dalej przyglądać się nie mogła, bo sucha po chwili powierzchnia zapiszczała pod ścierką.

Musiła przesunąć się w inne miejsce, z którego nie było już widać, jak kobieta wolno wyciąga długą łyżeczkę z wysokiej szklanki i pozwala klusce piany spaść do kawy z powrotem. A następnie zgarnia z wierzchu puszyste, kawowe mleko i wkłada powoli do ust, których kreseczka ledwo rysuje się na nieruchomej twarzy, i długo trzyma oblizaną łyżeczkę. W końcu usta ją puściły, ale już nie pojawiły się na twarzy, przygryzione przez zęby.

Nie pokazały się, gdy wyciągnęła telefon i wizytówkę z dużej torebki w węzowy deseń. Kiedy wystukiwała jakiś numer i zaczęła mówić.

Głos wydostający się przez zaciśnięte usta usłyszał Bartłomiej Pacyk, który odebrał telefon, gdy przeglądał się w lustrze, gładząc siworudego języka na swojej głowie, i kątem oka widział wiszącą na ścianie licencję zawodowego detektywa.

Wyglądała ona jak korona, słuchał więc i potakiwał, a do głosu w słuchawce robił profesjonalnie mądrą minę.

Z jego ust padło jedno słowo:

– Dobrze.

A potem drugie:

– Czekam.

Weronika Król wiedziała, że do koncepcji z kocem dzień był idealny. Spojrzała na widok za oknem, tym razem z zewnętrznej perspektywy. Zjedzone kostki ptasiego mleczka nie pomogły za bardzo. Wywołały tylko wspomnienie niespełnionej przeszłości, i to tak silne, że gdyby ich szybko nie połknęła, toby je wypluła.

Kręciła się po mieszkaniu, z każdą chwilą potęgując liczbę pokonywanych dystansów, kursów z garderoby do sypialni, z sypialni do garderoby – by skompletować skarpety – od wieszaka w przedpokoju do wieszaka na piętrze – by wymienić przed chwilą dobrany szalik do swetra. Sweter też trzeba było zmienić: ze względu na plamę.

I to wszystko niby szybko, a jakby w zwolnionym tempie. Cukierki z kofeiną nie zadziałały na uśpioną podświadomość. Weronika Król kawy nie piła od lata, kiedy to prawie połknęła dwie utopione w niej muchy.

Próby wykrzesania z siebie jakiejś energii spełzły na niczym, próby zaczerpnięcia jej z jakiegokolwiek innego źródła zdawały się z góry skazane na niepowodzenie. Listopadowa deszczowa niedziela nadawała się tylko do tego, by zostać wewnątrz. I tylko do tego.

Spojrzała na Pomyłkę. Kotka nie zamierzała nigdzie wychodzić i ułożyła się wygodnie na poduszce koło kominka.

Pozazdrościła i kotu, i poduszce. Zatrzasnęła drzwi, by po chwili wrócić po parasol. Padało coraz mocniej.

Opluła by tę pogodę, gdyby tylko ta to zauważyła.

Jeszcze parę dni temu z przyjemnością zgarniała ze swego fioletowego garbusa setki liści – zalanych żółcią i czerwonych z wściekłości na jesień. Teraz jedna mokra noc wystarczyła, żeby za wycieraczkami znalazły się tylko zgniłe śmieci.

W środku samochodu wcale nie było lepiej. Z obrzydzeniem dotknęła zimnej, wilgotnej kierownicy. Różowe pokrowce na siedzeniach też nie bawiły kolorem, jak to im się czasami udawało. Nie udało się to również sąsiadowi, który pakując dziecięce foteliki do samochodu, krzyknął:

– Witaj, piękna Hiszpanko.

Kiwnęła do niego głową, nie chciało się jej odpowiadać. Może dlatego, że „piękna” dodawał tylko wtedy, gdy nie było w pobliżu jego żony. Zaczęła się nawet zastanawiać, czy nie kpił. I nie dlatego, że mówił „Hiszpanko”, choć doskonale wiedział, że urodę odziedziczyła po matce z Kolumbii, nie z Hiszpanii.

Pomyślała tak, przeglądając się w samochodowym lusterku, bo czarne włosy jak zwykle gładko się przycesały i dały się związać w koński ogon, ciemne brwi i rzęsy same z siebie łagodnie, choć wyraźnie, malowały oko, gorzej natomiast było z ustami, na których ręcznie podana czerwień z pomadki nie rozłożyła się zbyt symetrycznie. Próbowwała rozprowadzić ją palcem, potem pozagryzała wargi, pocierając jedną o drugą, na koniec przejechała po nich językiem i nie patrzyła już więcej w lusterko.

Ruszyła, choć lusterka nie przekreśliła tak, by mogło odbijać tylną szybę, więc zerknęło sobie na nią i widziało, jak krzyczy:

– Boże! Dzieciobójczyni!

Uderzyła z całej siły otwartymi dłońmi w kierownicę. Ta nie pozostała dłużna, puszczona złośliwie poprowadziła koła w sam środek kałuży, tej dokładnie, obok której stał sąsiad z dzieckiem na rękę.

Doktor Karol Węgorzewski zakończył rozmowę, a chwilę później zaczął jedną ręką wyszukiwać numer telefonu, pod który musiał jeszcze zadzwonić, drugą zaś po raz kolejny sprawdzał, czy drzwi jego gabinetu są dobrze zamknięte. Nacisnął klamkę kilkakrotnie, zanim upewnił się, że klamka jest bezsilna wobec klucza, który sam przekreślił od wewnątrz.

Szukał numeru telefonu, przesuwał palcem po wyświetlaczu, drugą ręką próbował rozpiąć kołnierzyk eleganckiej koszuli, której guziczek był sprytnie schowany. W końcu odnalazł numer i rozpiął koszulę.

Nie zadzwonił jednak od razu. Najpierw otworzył okno swojego gabinetu i wyjrzał na ulicę Polną, na której od stu lat pół nie było, tylko same kamienice i równie wiekowy szpital ginekologiczno-położniczy.

Długo patrzył na jesienną pogodę i na karetki przywożące kobiety w różnym stanie, myśląc o pacjentce, którą odesłał przed chwilą.

Wyciągnął jedną rękę przed siebie, chwycił w nią trochę śpiącego deszczu i wtarł go we włosy. W końcu kciukiem drugiej ręki dotknął wyświetlacza.

Dźwięk przypominający serię z karabinu maszynowego rozległ się pod stertą ubrań rozrzuconych przy łóżku.

Ręka z wytatuowanym po wewnętrznej stronie przedramienia królikiem leniwie odgarnęła róg kołdry w kwiatki, która odsłoniła klatkę piersiową ozdobioną smokami. Druga ręka, z granatowym łańcuchem na bicepsie, opadła za łóżko i zaczęła grzebać w ciuchach, odrzucając najpierw seledynowy biustonosz, potem zgniłozielone bojówki.

Twarz ziewała tak, jakby miała się za chwilę rozetrwać. W końcu usta się zamknęły, pozwalając oczom popatrzeć na świat dokoła.

A było na co popatrzeć: odrzucona kołdra odsłoniła leżące na boku nagie pośladki, których krągły pagórek z jednej strony spływał łagodnie w kierunku złączonych nóg, z drugiej ostrzej w kierunku pleców, na które opadały długie, lśniące blond włosy. Całość lekko falowała uśpionym oddechem.

Ręka z łańcuchem w końcu znalazła dzwoniący telefon. Odebrała, pojedyncze pomruki potwierdzały słuchanie, więc trzymała wytrwale aparat przy uchu.

A druga ręka, z królikiem na przedramieniu, najpierw obwiodła linię śpiącego ciała, potem płasko wcisnęła

się pomiędzy pośladki i powędrowała powoli głębiej, między nogi. Obróciła się i pozwoliła palcom kręcić się w kółko.

Po chwili palce wycofały się, by mlaśnieje, z łatwością wśliznąć się z powrotem tam, gdzie już były. Nakręcając leżące ciało.

Głośniejszy pomruk na zakończenie przerwał rozmowę i ręka z łańcuchem rzuciła telefon na stertę ubrań.

Po chwili była już pełna piersi.

Skupione ciało wtargnęło do drugiego ciała.

A doktor Karol Węgorzewski opadł na kanapę, odczynał z ulgą i z zadowoloną miną człowieka, który zasłużył na nagrodę, kilkoma sprawnymi ruchami wymuskanych palców wystukał adres w telefonie, który mógłby się obrazić za nazwanie go telefonem.

Doktorowi pokazały się wszystkie wyniki mało sportowych zakładów. I tak skończyło się jego zadowolenie.

W samochodzie Weroniki Król zrobiło się co prawda ciepłej, ale nie zmieniło to jej nastawienia do samego dnia. Nie miała ochoty na żadne uduszone, odstawione lub porzucone niemowlęta, ani takiego dnia, ani żadnego innego.

Na koszmar w stylu pięciorga dzieci upakowanych pomiędzy brukselkami w zamrażarce czy ukiszonych w beczkach po kapuście nie miała siły. I wiedziała, że szybko jej nie znajdzie, a szukać nie będzie.

Ze swej Dąbrówki, niegdyś wioski pod Poznaniem, do której – jak obserwowała – zamierzało się przeprowadzić pół Poznania, miała kilka możliwości, by dojechać do centrum. W niedzielny, pusty poranek mogła w nich przebierać. Minęła więc kościół w Skórzewie, w którym kiedyś mieścili się wszyscy mieszkańcy okolicznych wiosek, a teraz tłoczyli się mieszkańcy pobliskich szeregowców. Minęła dwie szkoły, jedną bardziej nowoczesną od drugiej. Mogła minąć jeszcze jedną, już w Poznaniu, i skręcić w którymkolwiek momencie, by przedostać się na Grunwaldzką, która prowadziła ją do celu. Ale bezwiednie albo wiedziona koszmarnym instynktem, chcąc dojechać do Grunwaldzkiej, skręciła w Owczą. Była to jedna z tych możliwości, której nie powinna była wybierać.

Łatwo dać się zwieść. Przetykana leśno-łąkowymi łąkami ulica Owcza, gdyby nie cmentarz po drodze, sama nawet by nie zauważyła, że już nazywa się Cmentarna. Tak samo zresztą jak wielkie sosny nie wiedziały, że ich szyszki od dawna nie spadają na ziemię, tylko na gęsto stojące nagrobki na Junikowie.

Weronika Król nie skracala sobie tak drogi od bardzo dawna. Nie była nigdy na tym cmentarzu, odkąd chowano jej narodzone na chwilę dziecko. Nawet

Książki oraz bezpłatny katalog Wydawnictwa W.A.B.  
można zamówić pod adresem:  
02-386 Warszawa, ul. Usypiskowa 5  
oraz pod telefonem 0 801 989 870  
[handlowy@wab.com.pl](mailto:handlowy@wab.com.pl)  
[www.wab.com.pl](http://www.wab.com.pl)

Redaktor prowadzący: Filip Modrzejewski

Redakcja: Filip Modrzejewski  
Korekta: Małgorzata Denys, Agata Krzemkowska  
Adiustacja: Blanka Rusinowska

Projekt okładki i stron tytułowych oraz zdjęcie: Anna Sadowska  
Fotografia autorki: © Magdalena Adamczewska, TimeMachine

Wydawnictwo W.A.B.  
02-386 Warszawa, ul. Usypiskowa 5  
tel./fax (22) 646 01 74, 646 01 75, 646 05 10, 646 05 11  
wab@wab.com.pl  
www.wab.com.pl

Skład i łamanie: Tekst – Małgorzata Krzywicka  
Piaseczno, Żółkiewskiego 7A

ISBN 978-83-7747-259-0

*Przełamywanie konwencji można uznać za nadrzędną zasadę tekstu Jodełki. Co jednak najbardziej istotne, nie jest ono nachalne, kłujące w oczy. Jego wartość polega właśnie na subtelności. Autorka miesza różnego rodzaju sposoby przedstawiania i języki. W **Grzechotce** można odnaleźć zarówno cechy kryminału, jaki i powieści sensacyjnej.*

Ewa Kretkowska

## NOWA KSIĄŻKA LAUREATKI NAGRODY WIELKIEGO KALIBRU!

*Grzechotka* to druga poznańska powieść Joanny Jodełki, ciemna i zaskakująca...

Ponury jesienny dzień. Edyta Skomorowska nic nie pamięta, jej wielkie oczy pełne są przerażenia. Wie tylko, że ktoś zabrał jej dziecko. Ze środka jej ciała.

To wygląda na dzieciobójstwo, tak podejrzewa policja. Podobnie myśli Weronika Król, gdy swoim fioletowym garbusem jedzie na komendę przez zamglony Poznań. Jako psycholog musi orzec o stanie poczytalności młodej kobiety. Na własną rękę śledztwo prowadzi też pewna dziennikarka, wietrząca w temacie dzieciobójczyni przepustkę do sławy...

Joanna Jodełka kunsztownie operuje konwencją kryminału. Nie brak w *Grzechotce* śmiertelnego niebezpieczeństwa i przemocy, udręki i strachu, zbiegów okoliczności i erotyki. Powieść – pełna ironii i gier językowych – zadziwia i niepokoi, a jej świat ma niepowtarzalny urok.